

Perkara¹

Opowieść Egberta

- Hella S. Haasse

W ubiegłym tygodniu zobaczyłem JĄ nagle w teatrze, panią van H., która przed dwudziestu laty była „przyjaciółką” mojego ojca. Choć naturalnie przybyło jej lat, wydała mi się właściwie niezmienną. To znaczy, ogólne wrażenie pozostało takie samo: chuda, o długiej, dumnej szyi, dużych, ciemnych i rozmarzonych, lecz bynajmniej nie naiwnych oczach. Nadal nosiła tamte kolczyki, na które już wtedy patrzyłem ze zdumieniem, nie mogąc pojąć, że kobieta dla własnej przyjemności zaczepia sobie w cienkim płątku ucha takie ciężary. Zapewne właśnie owo nieustające kołysanie się przy policzkach czegoś zielonego i połyskującego poruszyło mnie najbardziej przy ponownym spotkaniu, tak samo jak dawniej. Nagle znowu znalazłem się na Gunung Hidjau, na opadającej łące przed pawilonem. ONA leżała na długim fotelu ogrodowym, ubrana w szorty, a złożony w trójkąt szal niczym biustonosz opasywał górną część jej tułowia. Wiedziałem wówczas już o wszystkim. Ta wyciągnięta na leżaku kobieta o małych piersiach, głębokim dołku między obojczykami i jasnobrązowej, połyskującej od olejku do opalania skórze (za każdym razem nacierała się leniwie i starannie) w czułym objęciu – jakoś nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Dla mnie była brzydka. Ilekroć myślałem o ojcu i o niej w kontekście bycia razem, nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać jak małe dziecko.

Simon, Dorée i ja najczęściej leżeliśmy nieopodal na macie, praktycznie jeszcze w cieniu ogrodowego parasola, który miał osłaniać jej głowę oraz plecy. Kiedy się poruszała, zielone krążki kołysały się miarowo na długich łańcuszkach. Na stoliku po jej prawej stronie, obok gazet, stały termos z sokiem owocowym oraz gramofon. W kółko puszczała płytę Tino Rossiego. *Dis moi le secret de tes caresses, la raison de ma faiblesse aupres de toi.* Już wówczas nie znosiłem tego śpiewaka o landrynkowym głosie, który wykonywał ckliwe piosenki. Dawny wstręt odżył w teatrze, gdy pozdrowiałem ją z daleka; siedziałem na parterze, ona zaś w loży. Kiedy mnie rozpoznała, jej twarz zastygła w zdumieniu, a może to był strach? Postanowiłem ją zagadnąć, zapytać o to, co od tak dawna chciałem wiedzieć: Czy myśli pani jeszcze czasami o moim ojcu, jak właściwie było wtedy między wami? Bo już jako chłopak zrozumiałem, że sypia z nim (Simon powiedział mi o wszystkim, poza tym,

pewnego razu, siedząc na parapecie sypialni, stałem się mimowolnym świadkiem nocnej sceny między rodzicami), lecz faktów naprawdę istotnych, kulisów, odpowiedzi na pytanie: jak i dlaczego – nie znałem. Tam, na Gunung Hidjau, Tino Rossi rzewnie śpiewał „Marinellę”, a ona z zamkniętymi oczyma leżała odchylona do tyłu, wtórując mu cichutko. W dole, na skraju łąki, płynęła kali². Woda połyskiwała między kamieniami. Góry miały kolor niebieski i fioletowy. Kiedy przechyliło się głowę, w górskich grzbietach i szczytach można było dostrzec profil mężczyzny z rozdziawionymi ustami. Jezu, jak strasznie krzyczał mój ojciec w ostatnich godzinach życia.

– Nie chcę umierać, ja nie chcę umierać!

Nic bardziej przerażającego nie może mnie spotkać. Bynajmniej nie mówię o samym konaniu, lecz o sposobie, w jaki się ono dokonywało. On błagał, wył o litość. Nie wierzę, aby cierpiał. Zapewne nagle pojął, że jego życie minęło. Wczepił się we mnie mocno, jakbym mógł mu pomóc. Ale w obozie³ wcale nie zbliżyliśmy się do siebie. Rzadko zachodziłem do baraku mężczyzn. Wraz z innymi chłopcami w moim wieku mieszkałem trochę dalej, w jednej z bilikowych⁴ chat, które stały rzędem pomiędzy miejscem stacjonowania Japońców, a ogrodzeniem przyległego kampongu⁵. Simona z nami nie było, wybuch wojny zastał go już w Europie.

W teatrze, podnosząc wzrok na jego matkę, uświadomiłem sobie, że od tamtego pożegnania na Priok w '39, kiedy wyjeżdżała cała rodzina van H., już więcej jej nie zobaczyłem. Ojciec Simona miał raka, ale my, dzieci, nie wiedzieliśmy o tym. Simon nie palił się, żeby jechać do Holandii. Markotny, z na wpół rozwartą buzią i ściągniętymi w dół kącikami ust, z rozmyślnie pustym, tępym spojrzeniem spod gęstych brwi, stał przechylony przez reling, chcąc dać nam do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzi. Rzucanie serpentyn, którymi zegnała się reszta odjeżdżających, uznał za uwłaczające własnej godności. Kiedy statek odbił od nadbrzeża, w geście pozdrowienia uniósł rękę i spojrzał właśnie na mojego ojca.

– Simon kiepsko wygląda, zimny klimat dobrze mu zrobi – powiedziała moja matka, machając energicznie; gruba, w kwiecistej sukience, miała pod pachami plamy od potu.

¹ perkara (malaj.) - rzecz, kwestia, sprawa.

² kali (malaj.) - rzeka

³ W czasie II Wojny Światowej okupujący Indonezję Japończycy internowali w obozach ludność pochodzenia holenderskiego.

⁴ bilik – plecionka bambusowa.

⁵ kampong (kampung, malaj.) – ogrodzona posesja, obejście; też grupa domów jako część miasta lub osiedla i wioska tubylcza.

Pani van H. pozdrowiła nas samym tylko ruchem palców, jej dłoń i zgięte w łokciu ramię pozostały sztywne; dokładnie w ten sam sposób kiwnęła do mnie w teatrze. Wtedy, na pokładzie, założyła – jak zwykle – okulary przeciwsłoneczne, które, podkreślając cieniem kości jarzmowe, upodobniły jej twarz do trupiej czaszki. Ojciec musiał mocno przeżyć to pożegnanie. Od tamtej pory stał się bardziej szorstki, w najlepszym wypadku okazywał życzliwość, aczkolwiek bez czułości, często bywał poirytowany i roztargniony. Pamiętam zapach jego gabinetu, do którego w owym czasie częściej niż poprzednio musiałem zachodzić po reprimendę; tę ostrą woń polerowanego drewna i środka przeciwko insektom. Matka kupowała zawsze na licytacjach meble z czasów Kompanii⁶, a ich odnowienie i zabezpieczenie przed kornikami zlecała później pewnemu Chińczykowi. Pokój, w którym ojciec, będąc w domu, samotnie oddawał się lekturze lub pracy, był wypełniony tymi niskimi, szerokimi krzesłami oraz ławkami o toczonych, czarnych nogach i siedzeniach z plecionego bambusa. Starczyłoby miejsca na zebranie albo podjęcie gości. A jednak bardzo rzadko składano nam wizyty. Wówczas nie zwracałem na to uwagi, ale teraz wiem, że ojciec nie był lubiany wśród kolegów z pracy i znajomych. Na krótko przed zajęciem Holandii przez Niemców otrzymaliśmy wiadomość, że pan van H. zmarł. Wtedy ojciec stał się niespokojny. Dzisiaj rozumiem, dlaczego: chciał do Holandii, do NIEJ. Od emerytury dzieliły go jeszcze dwa lata. Być może snuł plany rozwodowe. W każdym razie w tamtym czasie był uderzająco milczący, jeśli chodziło o nasze przyszłe życie w Europie. Wojna i japońska okupacja położyły wszystkiemu kres. Rodzina rozpadła się. Matka trafiła do obozu dla kobiet, ojciec i ja zostaliśmy internowani w B.

Podczas przerwy wbiegłem po schodach do dużego foyer, aby odszukać panią van H. Stała samotnie, z dala od ścisłu przy bufecie, pałac w takim samym zachłannym skupieniu, co dawniej. Trzymała papierosa pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i wypuszczała dym przez dziurki od nosa. Patrzyła przy tym nieobecny wzrokiem ponad głowami innych ludzi. Podeszedłem i podałem jej rękę.

– No, Egbercie – odparła, wykrzywiając usta w typowym dla siebie, ironicznym uśmiechu. Dostrzegłem błysk złotego kła między wargami. Kiedy się odwróciła, żeby strzepnąć na popielniczkę popiół z papierosa, doleciał mnie niewyraźny, gorzki zapach perfum, które również rozpoznałem; obudziły w mojej pamięci przeszłość bardziej niż cokolwiek innego w jej postaci.

⁶ Kompania – Holenderska Kompania Wschodnioindyjska gwarantująca Królestwu Niderlandów monopol na działalność kolonialną w Azji.

Za stojącym na Gunung Hidjau pawilonem państwa van H., w oddzielnym budynku, znajdowała się toaleta i łazienka: ściany z biliku i cynkowy dach nad cementową podłogą. Nie było tam okien, jedynie wywietrznik. Bilik nie sięgał do samej podłogi; pomiędzy cementem a postrzępioną plecionką wpływała do środka wąska stróżka słonecznego światła. Niekiedy podczas sjeisty wycofywałem się tam, żeby sobie poczytać z dala od Simona i Dorée, którzy ciągle chcieli tylko grać, najchętniej w warcaby albo w oczko, czego szczerze nie cierpiałem. Pewnego razu pani van H. podeszła do drzwi i zaczęła szarpać za klamkę:

– Co tam robisz, Egbercie, zaniemogłeś?

Zawstydziłem się mojego schronienia, a jeszcze bardziej tego, co ona sobie teraz o tym pomyśli i odkrzyknęłam, że zaraz wychodzę. Z łazienki wróciła do domu przez wąską galerię, która łączyła tę część przybudówek z pawilonem. W powietrzu unosił się za nią gorzki zapach drzewa sandałowego.

Kiedy tak rozmawialiśmy w foyer teatru, dostrzegłem to, co wcześniej pozostawało dla mnie niewidoczne: pomimo zwiędłej twarzy i chudości wciąż jeszcze miała to *je ne sais quoi*⁷, co sprawiało, że w pierwszym rzędzie patrzyło się na nią jak na kobietę: pewien dwuznaczny urok, mieszaninę obojętności i elegancji.

– Nigdy nie rozumiałem, jak mogła pani lubić Tino Rossiego – powiedziałem, zapytawszy uprzednio o Simona (jest inżynierem w Brazylii) i Dorée (rozwiedziona w Enschede), których nie widziałem od czasu wyjazdu z Indii. Nie okazała zdziwienia moim skokiem myślowym.

– Naprawdę? – zapytała, unosząc brwi. Kiedy wyciągała z torebki papierośnicę, na jej twarzy znowu zagościł ironiczny uśmiech. Podałem jej ognia.

– Merci, Egbercie. Tak, te *chansons*. Owszem, słodkie. Och, miałam *craze*⁸ na jego punkcie. Czy pamiętasz jeszcze nasz pawilon na Gunung Hidjau. Sądzę, że lubiłeś to miejsce.

Zanim jednak zdążyła przywołać swoje ckiwe wspomnienia, zapytałem:

– Właściwie jak długo znała już pani mojego ojca, gdy ja... To znaczy, kiedy spotkaliście się po raz pierwszy?

Zielone kolczyki błysnęły wzdłuż jej policzków. Zlizała koniuszkiem języka odrobinę tabaki z warg.

⁷ *Je ne sais quoi* (fr.) - dosł. 'nie wiem co'; coś trudnego do określenia, do wyrażenia, coś nieuchwytnego; to coś, jakiś czar.

⁸ *craze* (ang.) - bzik.

– Och, bardzo dawno temu, – odparła niespiesznie – kiedy był jeszcze kawalerem. Często jadał u nas.

Mój ojciec – prawdziwy *baar*⁹, blady i jasnowłosy, w białym garniturze ze sztywnym kołnierzykiem i przykrótkimi, pogniecionymi nogawkami. Jego stara fotografia leżała w bieliźniarce matki; ilekroć staram się przywołać w pamięci ten wizerunek taty, którego nigdy nie znałem, czuję zapach kamfory i ziołowych saszetek. Młoda twarz, arogancka i niewinna zarazem. Tak niegdyś wyglądał. Zdumienie nad rzeczywistością, która jest już niedostępna, miesza się nagle – jak to często bywa – z rzekomo zapomnianymi wrażeniami z sypialni rodziców, jedyne miejsce, gdzie widziałem to zdjęcie. Zamknięte przed upałem okiennice, niewyraźne migotanie szklanych przedmiotów na toaletce matki i srebrnych haków podtrzymujących łóżkową moskitierę. Przenikliwa woń karbolu w miseczkach pod nogami szafy. Zapach pościeli bielonej w słońcu, od czasu do czasu unoszący się nad białą powierzchnią łóżka z okrągłymi poduszkami i walcowatymi podgłówkami. Zdjęcie – przyklejone do kawałka szarego kartonu z nazwiskiem japońskiego fotografa w prawym dolnym rogu – już wtedy było nieco wyblakłe. Za ojcem, na wiklinowym stoliku stała palma.

Usłyszałem, jak pani van H. powtórzyła, że często ich odwiedzał i że przeszli przez „tę całą historię” (użyła określenia „perkara”).

– To nieszczęście z Olgą... Nie wiedziałeś? No tak, skąd miałbyś wiedzieć, nie mogłeś – poprawiła się szybko. Wzruszyła ramionami i odwróciwszy twarz, wypuściła dym. Ujrzałem ścięgnię jej szyi i kości jarzmowe pod cieniutkim, czarnym brzegiem okularów.

– Ach, pocziwa Olga, taka ładna *nonna'tje*¹⁰. *Craze* na jego punkcie – (Pani van H. bezustannie używała angielskich wtrąceń.) – Nie chciała dać mu spokoju, kiedy miał już tego dosyć. Podcięła sobie żyły u nas w domu, żeby go nastraszyć i odzyskać, rozumiesz, w rzeczywistości nie zamierzała popełnić samobójstwa. No cóż, sprawy wymknęły się spod kontroli, parszywa historia. Leżąc, krzyczała: „Nie chcę umierać, nie chcę umierać”.

Ojciec odwrócony tyłem, na brudnej macie w baraku dla mężczyzn. Przycupnąłem obok, zimny pot oblał moje ciało, bynajmniej nie na myśl o jego śmierci, lecz z powodu rozpaczy, z powodu sposobu, w jaki odchodził. „Niemożliwe – pomyślałem wówczas – to do niego nie pasuje”. Miał zawsze to, co nazywają „pozą”, surowo przestrzegał konwenansów. Nikt inny nie opanował tak doskonale modulacji głosu i niuansów w kontaktach towarzyskich między panem a podwładnym, między równymi rangą ludźmi

⁹ baar – o osobie nowoprzybyłej do Holenderskich Indii Wschodnich.

różnych środowisk, między białymi a tubylcami. Kiedyś byłem świadkiem, jak tego samego popołudnia przyjmował zatrudnionego w biurze *mandura*¹¹, młodszego kolegę oraz swojego szefa. Z przedstawiciela władzy przeistoczył się w ojcowskiego przyjaciela, jowialnego, choć nie bez odrobiny wyniosłości, potem zaś wesoły kierownik wydziału stał się aż do bólu perfekcyjnym, do granic możliwości spiętym gospodarzem. Wyjąwszy incydent na łożu śmierci, tylko raz w życiu widziałem, jak puściły mu nerwy; właściwie cała sytuacja była raczej komiczna.

W wewnętrznej galerii naszego domu stał duży, połączony zegar wahadłowy, ozdobiony wspartym na tarczy Krzyżakiem w pełnym rynsztunku. Ojciec zabrał go z domu rodzinnego, kiedy wyjeżdżał do Indii. Był do tego zegara niezwykle przywiązany. Własnoręcznie nakręcał go co wieczór przed pójściem spać. Od czasu do czasu sprawdzał palcem czy wahadło jest utrzymane w należytej czystości, czy maleńkie ornamenty błyszczące na matowym złocie hełmu oraz na kolczudze nie odprysły lub nie wygięły się. Pewnej nocy, miałem wówczas sześć czy siedem lat, obudziłem się przestraszony krzykiem i hałasem spadających mebli. Wskoczyłem z łóżka i pobiegłem w kierunku, skąd dochodziły odgłosy. Moja matka stała razem z *babu*¹² w przedniej galerii. W wypływającym na zewnątrz świetle lampy zobaczyłem, że ojciec biega w pidżamie boso po trawie, dzierżąc w prawej dłoni gumową pałkę, którą zawsze trzymał pod poduszką. Służący i ogrodnik stali na straży przy płocie. Złodziej dyszał głośno ukryty między krzakami, nie miał już wyjścia. Upuścił ciężki zegar i jak szalony rzucił się przez obłożony potłuczonym szkłem, wyższy od przeciętnego człowieka mur, który okalał naszą posiadłość. Ojciec próbował jeszcze złapać uciekiniera za nogę, lecz mężczyzna uwolnił się i uciekł. Zegar leżał bokiem w trawie, połyskując matowo. Służący chciał go podnieść, lecz ojciec zabronił mu podniesionym, gniewnym głosem. Sam wniósł do środka Krzyżaka. Rękaw jego pidżamy był poplamiony krwią, widocznie złodziej zranił się szkłem podczas wspinaczki na mur.

– *Kassian*¹³ Olga – westchnęła pani van H., zamyśliwszy się. Przed oczyma miała teraz „tę historię” z dawnych czasów: dla mnie zupełnie nową i nagle tak niebywale ważną.

– Mój ojciec zmarł w obozie – powiedziałem.

Nie zmieniła pozy, byłem jednak świadom, że jest w niej coś napiętego i twardego niczym naciągnięta sprężyna.

¹⁰ nonna - (malaj.) panienska.

¹¹ mandur - (malaj.) nadzorca.

¹² babu - tubylcza piastunka do dziecka; też opiekunka, pielęgniarka, służąca.

Pewnego razu biegłem boso przez pola, balansując na jednym z wąskich wałów zaschniętego na kamień błota. Pomiędzy młodymi źdźbłami ryżu coś mignęło i zaszeleściło. Płynnym, elastycznym ruchem wypełził na drogę mały, zielonkawy wąż, żywa stróżka wody; przestraszony moją obecnością w ciągu sekundy zamarł w bezruchu, zamieniając się w sztywną, skręconą w pierścień spiralę. Błyskawicznie schyliłem się po kamień i zmiażdżyłem mu łeb.

W najdalszym rogu mojego pola widzenia tkwiła zielona plama jednego z jej kolczyków.

– Tak, dowiedziałam się o tym po wyzwoleniu. Byłeś przy nim w B.? Zawsze tak bardzo chciał wrócić do Holandii. Twój ojciec nie czuł się *happy* w Indiach. A jednak tam pozostał, na zawsze.

Nastawiłem uszu, próbując uchwycić w jej głosie nutę współczucia, a może żalu, lecz ona utrzymała konwersację w tym samym tonie przyprawionym nutką ironii.

– Powtarzał niekiedy: „Gdybym miał jeszcze czas” ... – nie dokończyła zdania, wymamrotała tylko „no tak” i nachyliła się przede mną, żeby zgasić papierosa, tym razem w piasku donicy.

Zegar z Krzyżakiem straciliśmy podczas japońskiej okupacji, podobnie jak całą resztę majątku. Nie, ojciec nie miał już czasu, nie miał czasu na złote godziny wolności i szczęścia pod znakiem dżentelmena bez strachu i skazy. Nieosiągalny ideał, fałszywa tarcza herbowa, pozłotko. Tak jak gdyby wraz z osiągnięciem wieku emerytalnego mógł zostać innym człowiekiem, który potrafi zachować dystans wobec starannie nałożonego pancerza obowiązkowości, posiadania autorytetu oraz wzorowego przestrzegania form i przepisów. W obozie obowiązywała inna rachuba czasu mierzona podziałem zajęć, apelami oraz przymusową pracą. Władza należała tylko do Japońców. Ojcu można było wtedy zliczyć zębra, miał matowe, siwe, włosy i wychudzone nogi, które wystawały z przykrótkich, brudnych szortów.

– Mogę wszystko opowiedzieć, jeśli pani chce – oznajmiłem.

Spojrzała na swój złoty zegarek.

– Ale nie teraz, Egbercie, antrakty właśnie dobiega końca.

Wezbrała we mnie fala wściekłości na tę pewną siebie kobietę, jakże nieuchwytną w aurze drzewa sandałowego; na tę brzydką, atrakcyjną, obojętną, elegancką, starszą panią o

¹³ kassian - (malaj.) biedny, nieszczęsny.

wykalkulowanym dowcipie, która mimo wszystko nadal zachowała zmysłowe oczy; na tę czarownicę, arystokratkę, kompletne przeciwieństwo mojej matki – naiwnej, poważnej, w typowo holenderski sposób sztywnej, rumianej i krzepkiej. Lepiej niż kiedykolwiek wcześniej zrozumiałem, jaki urok musiało mieć dla ojca towarzystwo pani van H., ale wiedziałem również, iż nie był dla niej żadną partią, że powolutku wymykała mu się z rąk i czuł to, lecz nie chciał uznać swojej porażki.

Moja matka, której nie kochał, która go irytowała, pasowała do niego; dla mężczyzny takiego jak on była przeznaczeniem, brakującą połówką. Pani van H. ucieleśniała pierwiastek odmienny, niebezpieczny i dominujący, który go pociągał, aczkolwiek w głębi ducha na zawsze miał pozostać obcy.

Stojąc naprzeciwko niej poczułem potrzebę ujęcia się za ojcem, a przecież nigdy go nie bronię, wręcz przeciwnie. Miałem zamiar nie oszczędzić jej żadnego detalu straszliwej śmierci, końca ziemskiego żywota, tego wszystkiego, co, skwitowała nonszalanckim – *No tak*, uznając za zakończone.

– Odwiedzę panią kiedyś – powiedziałem. – Mieszka pani w mieście?

Wyjęła z torebki lusterko i zwilżonym koniuszkiem serdecznego palca prawej dłoni szybko przesunęła po brwiach.

– Tymczasowo. U rodziny, u brata matki i jego żony. Może poszukam później czegoś na Południu, w Cannes albo na hiszpańskim wybrzeżu. Jeszcze nie wiem.

– Jaki jest pani adres? – nalegałem uparcie, nie zważając na wykręty. (*To starsi ludzie. Często wyjeżdżam*). W końcu przyparta do muru, podała ulicę oraz numer domu.

– Mogę zajrzeć kiedyś z wizytą? – zapytałem ponownie, pobudzony jej niechęcią.

Rodzice zmarli i zostali pochowani, a ona wciąż żyła. Nie ma prawa bagatelizować przeszłości, sprowadzać wszystkiego do na wpół rzewnych, wpół zabawnych wspomnień o mężczyźnie niezadowolonym ze swojego małżeństwa, z którym onegdaj łączyła ją intymna znajomość oraz o chłopcu, który bawił się z jej dziećmi.

– O tak, będzie mi bardzo miło – odparła niezobowiązującym, uprzejmym tonem prawdziwej damy. – Pokażę ci zdjęcia Simona i jego latorośli. Teraz muszę już wracać na miejsce. Adieu, Egbert.

Podała mi palce, nie odwzajemniając jednak uścisku lub czyniąc to ledwo wyczuwalnie. Nie rozumiałem, co ją tak ożywiało, złościła mnie. W trakcie drugiej części przedstawienia od czasu do czasu spoglądałem w górę, w kierunku łoży, ale siedziała oparta plecami o oparcie fotela i ukryta przed moim wzrokiem.

Kiedy po skończonym przedstawieniu przystanąłem przy afiszu zapowiadającym następną premierę, podszedł do mnie portier. Podał mi coś na dłoni: krążek z zielonego jadeitu.

– Znalaziono to w garderobie. Widziałem, że w czasie antraktu rozmawiał pan z tą damą.

– Dziękuję, oddam jej – odparłem.

Jadeit był zimny i gładki w dotyku. Kolczyk okazał się w rzeczywistości jeszcze cięższy niż sądziłem.

Mieszkanie zajmowało wyższą kondygnację budynku położonego przy staroświeckiej ulicy. Przy wejściu, na końcu stromych schodów, czekała sprzątaczką, która wpuściła mnie do środka. Otworzyła drzwi, nie tracąc czasu na zbędne wyjaśnienia i uprzejmości.

W przestronnej, pogrążonej w półmroku amfiladzie, podobnie jak na korytarzu, pachniało indyjskim jedzeniem; charakterystyczny zapach *dapuru*¹⁴, którego nie sposób się pozbyć: drobno starty hiszpański pieprz i inne przyprawy; woń niewyraźna, aczkolwiek przenikliwa. Wszystkie kąty wypełnione były kwiatami doniczkowymi, stojące na parapecie oraz za drzwiami balkonowymi zdawały się bujnie pięć ku górze, na drugą stronę szyby, tak że światło słoneczne wpadało do środka jakby przefiltrowane. Stał tam abażur – snycerka Jepara; ściany zakrywały udrapowane batikowe chusty w kolorze granatu, brązu i ochry, trofea w postaci *krisów*¹⁵ i zakończonych hakiem oszczepów, kompozycje masek oraz lalek *wajang*¹⁶. Wiele z nich rozpoznałem, widywałem je w domu państwa van H. w Batawii¹⁷.

Dokładnie naprzeciwko drzwi wisiał ogromny obraz przedstawiający widok z Gunung Hidjau: górskie łańcuchy tworzące profil mężczyzny w agonii. Zaraz potem ujrzałem dwoje staruszków, mężczyznę i kobietę, siedzących w fotelach po obu stronach stolika z oszlifowanym miedzianym blatem; oboje nieco pochyleni do przodu wpatrywali się we mnie, jakby oczekiwali mojego przyjścia. Staruszka sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, mężczyzna – szczupły i wąły, w narzuconej na pidżamę podomce – miał żółtawą, ptasią

¹⁴ dapur (malaj.) – kuchnia.

¹⁵ Kris (keris, malaj.) - płaski sztylet, często wygięty, z obustronnie ostrym brzeszczotem, o całkowitej długości ok. 30-40 cm., czasem zdobiony wkutymi warstewkami niklu, tworzącymi piękne słoje; uważany za symbol męskiej godności, niekiedy noszony jako oznaka rangi, czasem czczony jako amulet, gdzieś używany do wykonywania wyroków śmierci.

¹⁶ wajang – teatr cieni.

główkę oraz przenikliwy, nieufny i przygnębiający wzrok. Przedstawiłem się, wyjaśniając, że przyszedłem do pani van H. Nagle w drugim kącie pokoju nastąpiło jakieś poruszenie, drzwi otworzyły się i ponownie zamknęły, jednakże nie dość szybko. Wiedziałem na pewno – to *ona*, w peniuarze, kapciach, z rozpuszczonymi, półdługimi włosami.

– Niech pan usiądzie – powiedział starszy mężczyzna. – Toetie zaraz przyjdzie, musi się ubrać.

Usiadłem. Spojrzałem w zgaszone oczy prawdziwej *nénéh*¹⁸ i na orientalną głowę jej męża, która przypominała trupa czaszkę. Niemal ceremonialnym gestem wyciągnął ku mnie bladą, pokrytą wątrobowymi plamami dłoń:

– Pan jest synem... (wymienił tu nazwisko mojego ojca). Toetie powiedziała nam to. Prawda, Dee? Toetie mówiła, że spotkała pana tutaj w *Comedie* – powoli, podniesionym głosem powtórzył w kierunku swojej żony. Ta skinęła tylko głową.

Porzucona, pusta dziewiętnastowieczna posiadłość wiejska Gunung Hidjau, położona na zboczu za pawilonem; na wpół zawalone galerie i pomieszczenia wewnątrz, zapadnięte kafle podłogowe, okna i drzwi częściowo przysłonięte zepsutymi żaluzjami; dziedziniec z wyschniętym, obmurowanym zbiornikiem (niegdyś pływały w nim gurami i złote rybki), rzędy otynkowanych na biało donic, ustawionych symetrycznie na postumentach, w niektórych rosły jeszcze palmy oraz dziko wybujałe paprocie. Simon, Dorée i ja chętnie chodziliśmy tam na zwiady. W *desa*¹⁹ krążyły opowieści o duchach ze starego domu. Pani van H. drwiła z tych historii, które przy nas nazywała tubylczymi *omong kosong*²⁰, nie był to jednak szczery śmiech. W tym domu mieszkali dziadkowie ze strony jej matki, jako młoda dziewczyna spędzała u nich każde wakacje, ale niczego przerażającego nie zauważyła. To duch młodej kobiety, wyjaśnili kucharka i ogrodnik z pawilonu (kiedy pani van H. nie mogła tego usłyszeć), dziewczyny o długich, czarnych włosach i umazanych krwią rękach, dziecka starego domu – twierdzili z wielką stanowczością.

– Pewnie uważa pan, że nieźle tu napakowane? – zapytał starszy mężczyzna, zataczając ręką jakby koło. – Te wszystkie klamoty... broń... maski... za dużo, nieprawdaż?

¹⁷ Batawia - obecnie: Dżakarta.

¹⁸ *nénéh* – stara kobieta.

¹⁹ *desa* (malaj.) - wieś w znaczeniu grupy zagród, też wspólnota wiejska, gminna oraz najniższa jednostka administracyjna na Jawie i Madurze (zabudowania, przynależące do nich pola, lasy, ugory).

²⁰ *omong kosong* (malaj.) – bzdury.

Ojciec Toetie był prawdziwym *tòtòk*²¹, pan wie, oni mają bzika na punkcie tych rzeczy. W kółko tylko by zbierali, co na to zaradzić?

Powiodłem spojrzeniem za jego dłonią. Ponad miejscem, gdzie siedziała staruszka, na tle *kain*²² z kwiatowymi motywami w kolorze żółtym i indygo rzędem wisiły oprawione zdjęcia, część z nich była kompletnie wypłowiała. Mój wzrok przykuło powiększenie ujęte w srebrny wieniec; sprawiało wrażenie, jakby faktycznie ktoś zaglądał do pokoju przez małe, zamglone albo matowe okienko, przez iluminator. Spod ciemnych, upiętych włosów wyglądała para bardzo ciemnych oczu; spojrzenie wyzywające, a zarazem przygnębione i melancholijne; zmysłowe usta, okrągłe policzki; ładna indyjska dziewczyna z dawnych czasów. Podobieństwo było bezsporne.

– Czy to pani van H.? – zapytałem, wstając z krzesła.

Nagle do mojej świadomości dotarła jakaś prawda o niej i jej życiu.

– Toetie? Nie, to nie jest Toetie – odparł niemal oburzony starszy mężczyzna. – To Olga. Dee, on pyta, kto to jest! (Powiedział powoli i wyraźnie, zwracając się do nieruchomej kobiety.)

– Olga – było to pierwsze, a zarazem jedyne słowo, jakie padło z jej ust; zepsuty dźwięk.

– Olga? – powtórzyłem również bezwiednie.

„Kassian Olga” oświadczyła pani van H. w foyer teatru. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Nie wiedziałem, o co teraz zapytać albo co powiedzieć. Nagle starszy mężczyzna ponownie wyciągnął do mnie rękę.

– I ...wraca pan znowu do indyjskiej ojczyzny?

– Na razie nie ma na to wielkich widoków, ale kto wie, może kiedyś odwiedzę jeszcze Indonezję.

– Tak, w ten sposób musimy ją dzisiaj nazywać²³ – skonstatował pogardliwie z gorzkim uśmiechem na ustach. – Tak, tak. Wiele się zmieniło, szanowny panie.

– Widzę tam Gunung Hidjau – powiedziałem, wskazując głową na duże malowidło. Chciałem odwrócić jego uwagę i zdusić w zarodku litanie na temat *tempo dulu*²⁴. – Jako dziecko często nocowałem u Simona i Dorée.

²¹ *tòtòk* (malaj.) – rasowy Europejczyk.

²² *kain* (malaj.) – kawałek materiału.

²³ Przed rokiem 1945 tereny te określano mianem Holenderskich Indii Wschodnich, nazwa Indonezja weszła w życie dopiero po ogłoszeniu niepodległości przez dawną kolonię holenderską.

²⁴ *tempo dulu* – dawne czasy.

Nie odpowiedział, ale wciąż mi się przyglądał. Odniosłem wrażenie, że na początku nie skojarzył, o kim mówię.

Wreszcie odparł, kiwając głową:

– Tak, był piękny. Nasz dom rodzinny, na górze. Tam spotykaliśmy się wszyscy. Wczesnym rankiem stajenni wyprowadzali konie, a potem wierzchem ruszaliśmy w góry...

Zawiesił głos.

– Chodzi mi o pawilon, w którym pani van H. zawsze spędzała wakacje – wyjaśniłem. Ale nie zrozumiał.

– Portrety Toetie też tutaj mamy – oznajmił zniecierpliwiony, aby nie zauważyć, iż mój wzrok znowu padł na twarz Olgi – twarz naturalnych rozmiarów, ukrytą za okrągłym szkłem. „Okno” musiało być zakurzone; wręcz nie mogłem sobie wyobrazić, że te ciemne, błyszczące źrenice wyblakły, zgasły, że nie były prawdziwymi oczami, a tylko okrągłymi kleksami na papierze.

Wskazał stół obładowany ramkami.

– Tam, tam. Tak, tam! To Toetie. Królowa balu!

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wstać i udać się w kierunku wskazanym przez powtarzane i ponaglące machanie kościstej ręki. W rzeczy samej, zobaczyłem panią van H. przebraną za pierrota, w bufiastej spódnicy i z pieprzykiem domalowanym przy kąciu ust. Mogła mieć góra dwadzieścia lat. Na portrecie siedzi z podciągniętymi nogami i rękoma kokieteryjnie ułożonymi przy krawędzi ogrodowego stolika. Stojąca obok mała dziewczynka spogląda na nią pełnym podziwu wzrokiem. Podobieństwo wyraźne, tylko że dziecko ma ciemną, indyjską karnację, zaś skóra młodej dziewczyny w balowym kostiumie jest matowa i biała, a rysy ostrzejsze jak u kreolki.

– Olga, nasza córka, wtedy była jeszcze mała – zza pleców dobiegł mnie głos starego mężczyzny. Nie powiedział tego tonem poufałym, ale raczej bezosobowo oznajmującym. Jego akcent uderzył mnie jeszcze bardziej niż na początku.

– Toetie nocowała u nas, ilekroć przyjeżdżała do Batawii na tańce. Później, po naszej przeprowadzce do Sukabumi, role się odwróciły. Wtedy Olga, jeśli chciała iść potańczyć do Concordii albo Ogrodu Zoologicznego, nocowała u Toetie. Pan wie, w tamtych czasach młodzi dużo się bawili.

Wiem, znam te wszystkie opowieści o dawnym, wesołym życiu w Indiach. Toetie z portretu (nigdy nie słyszałem, aby ktoś nazywał ją inaczej niż Louise albo poufale – Loes van H.), miała na nogach buty na wysokim obcasie, których noski zdobiły pompony. Mała

dziewczynka z długimi, czarnymi włosami jedną ręką wspiera się o blat stołu, tuż przy prawej nodze Toetie. Jej palce są podniesione, jakby zamierzała dotknąć tiulowej rozety lub właśnie jej dotknęła. Na ziemi leżą wachlarz i maska. Niespełna pięć lat później dziecko też brało udział w zabawie. „*Olga, taka ładna nonna'tje*”. Dlaczego nie powiedziała: „*Moja kuzynka, mój gość?*” „*Podcięła sobie żyły u nas w domu*”.

W domu – a zatem u Louise, Loes (Toeti) van H. i jej męża. Musieli być świeżo po ślubie. Mój ojciec, jasnowłosy kawaler, w kaftanie tutup²⁵, zaraz po przyjeździe z Holandii często jadał u nich. Chadzał z Olgą na tańce do Concordii i Ogrodu Zoologicznego. Może nawet wspólnie z Olgą i panią van H. – z dwoma wesołymi pierrotami. Nie potrafię sobie wyobrazić pana van H. na parkiecie. Był przynajmniej ze dwadzieścia lat starszy od żony, chudy i łysy. Uosobienie łagodności i uległości, to na pewno. Pani van H. nazywała go zawsze *pappie*. A zatem w domu Toetie i *pappie* Olga podcięła sobie żyły, bo mój ojciec „miał już tego dosyć”. Dlaczego? Czy spotkał wtedy moją matkę, młodą nauczycielkę, podobnie jak on od niedawna przebywającą w Indiach; dzielnie zmagającą się z tęsknotą za domem, pełną zapału, dobrej woli i braku zrozumienia; niezbyt ładną, ale za to z porządnej, holenderskiej rodziny; tę kotwicę, która miała go łączyć z ojczyzną? To właśnie dla niej, dla narzeczonej, kazał uwiecznić japońskiemu fotografowi swoją białą, arogancką, niewinną twarz.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła pani van H., ubrana w strój wyjściowy, w płaszczu i kapeluszu na głowie, ale z nieodłącznym papierosem pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Przywitała się ze mną, jakby faktycznie nie wiedziała, że tu jestem. Podałem jej krążek z zielonego jadeitu, co wywołało autentyczne zdziwienie.

– Wuju, ciociu, spójrzcie tylko, co on znalazł. Jak to możliwe! Byłam *down*²⁶ z tego powodu. Zawsze noszę te kolczyki. To prezent ślubny od *pappie*. Co za szczęście, że spotkałam ciebie w teatrze, Egbercie.

– Widziałem portret Olgi – powiedziałem, kiwnąwszy głową.

– Nie napiłbyś się filiżanki kawy? Nie? Jaka szkoda, muszę właśnie wyjść, mam spotkanie.

Zgasiła na wpół wypalonego papierosa.

– Potowarzyszę pani, tak daleko, jak pani pozwoli.

Już schodząc po schodach, ostentacyjnie podciągnęła rękawiczkę, aby móc spojrzeć na zegarek. Szła szybko, ale dotrzymywałem jej kroku.

²⁵ tutup (malaj.) – kaftan ze stójką, zapięty po szyję. Vide: <http://collectie.museumrotterdam.nl/objecten/72795>.

– Czy jej rodzice byli przy tym, kiedy popełniła samobójstwo?

– Oczywiście, że nie – odparła krótko. Futrzany kołnierz tłumiał jej głos. – Boże, jeszcze by tego brakowało. To się stało późnym wieczorem. Ledwo wróciliśmy z przejażdżki. Była wtedy bardzo spokojna. Siedziałam z przodu, rozmawiając z *pappie*. Nagle dobiegł mnie jej krzyk. Przykucnęła na łóżku. Ujrzałam krew wypływającą spod moskitiery. Nie dało się zatamować rany. Doktor przybył natychmiast, w koszuli nocnej, ale nie mógł już nic zrobić. Zamknęliśmy przed sąsiadami okiennice i drzwi. Służba została z nami przez całą noc. Kazaliśmy wszystkim przysiąc, że nie będą niczego rozpowiadać. Kiedy wuj i ciotka przyjechali z Sukabumi, leżała już w trumnie. Zakażenie krwi, powiedzieliśmy. Oczywiście nie obyło się bez plotek. Myślę, że znają prawdę, lecz o tym nie rozmawiają, nigdy.

– Zatem to wina mojego ojca.

– Powiedziałaś: samobójstwo, ale ona wcale nie miała takiego zamiaru. Chciała go tylko przerazić, napędzić mu stracha, rozumiesz, żeby go odzyskać. Nie знаła go. Powtarzałam jej od początku: Olga, on nie ożeni się z indyjską dziewczyną.

– Też krzyczał na łożu śmierci: „Nie chcę umierać, nie chcę umierać!”. Dlaczego ani razu nie napisała pani do niego, nie odpowiedziała na jego listy, kiedy to jeszcze było możliwe? Był przez panią bardzo nieszczęśliwy.

Teraz zerknęła na mnie z ukosa.

– Czyżby?

– Chciała pani wziąć odwet?

Wiatr świstał za rogiem ulicy. Zadygotała i obiema rękoma przycisnęła do twarzy futrzasty kołnierz. Ominąwszy mnie wzrokiem, zapatrzyła się w ruch uliczny. Przystanęła na skraju chodnika.

– Posłuchaj, Olga nie żyje, *pappie* nie żyje, twój ojciec nie żyje. Wszyscy umarli dawno temu. Czego ty w ogóle chcesz?

– Nic z tego nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

– Olga była zakochana w twoim ojcu, on w niej, a potem we mnie. Uważałam, że jest miły, *pappie* też go lubił. Ja kochałam *pappie*, zaś *pappie* kochał mnie. Stracił jednak głowę

dla Olgi, a później dla tych brzdąców z kampongu... Nie prosź mnie, żebym to wyjaśniła. *Habis perkara*²⁷. Było minęło. Zamknięty rozdział.

(Pan van H. – dla przyjaciół swojego syna po prostu uważny, zabawny i anielsko cierpliwy gospodarz. Po tym jak dowiedziałem się od Simona o kontaktach ojca z jego matką, zaskoczyła mnie beznamiętność, z jaką stwierdził: „Papa wie o wszystkim. Nie potępia tego.”)

– Nadjeżdża tramwaj. Miło było znowu cię spotkać. Napiszę o tym do Simona. Ach, nie obejrzałeś zdjęć. Bardzo dziękuję za odniesienie kolczyka. Wciąż ten sam *golden boy* co dawniej, wykapany ojciec, prawdziwy rycerz.

Na jej twarzy pojawił się krzywy, ironiczny uśmiech. Zeszła z chodnika, żeby przejść na drugą stronę ulicy do przystanku. Jednak obróciła się jeszcze raz i rzuciła przez ramię:

– Odwiedz kiedyś Dorée, ona jest taka samotna.

Owszem, wybrałem się do Dorée, do Enschede. Dorée znaczy: ze *złota* lub *pożłacana*, *golden girl*. Kiedy widziałem ją po raz ostatni w Indiach, podczas pożegnania na Priok, była wyrośniętym i opalonym dzieckiem o wypłowiałych od słońca włosach bliżej nieokreślonego koloru. Dzisiaj, gdy jest już dużo starsza, podobieństwo do mojego ojca daje się łatwo zauważyć. Oczy odziedziczyła jednak po pani van H. i są to oczy Olgi.

Moja przyrodnia siostra; żywe świadectwo rozpołowienia, które sam odczuwam, rozdarty między tu i tam, między pragnieniem porządku, chłodną holenderską czystością, a tęsknotą za połyskującym, zielonym blaskiem na Gunung Hidjau.

²⁷ *habis perkara* (malaj.) – skończone.